Dodatek do Nr. 50 „Prawdy".

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 25. Sobota, dnia 12-go Grudnia. Rok 1908

O JANKU OSADNIKU.

(POWIASTKA Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA)

(Dokończenie).

Pan Bóg pobłogosławił ich związek, obdarzając dwojgiem zdrowych i ładnych dzieciaków.

Kiedy Janek po całodziennych trudach w polu powracał na wieczór do domu, Magdzia dawała mu zawsze do pocałowania pyzate i rumiane malców twarzyczki.

* * *

W parę lat później zacny kapłan przeniósł się do wieczności.

— I my pomrzemy — rzekł Janek — a osada nasza dostanie się chłopakom. Osada ta jednak nie jest naszą własnością. Mamyż wiadomość o tem, że to cudzy majątek, zabierać z sobą do grobu?

Sumienie uczciwym ludziom nie pozwalało na to. Janek udał się do nowego proboszcza, opowiedział o wszystkiem i złożył do jego rąk piśmienne objaśnienie całego tego wypadku.

Ostrożność taka uspokoiła sumienie zacnych małżonków w zupełności.

Już dziesięć lat żyli ze sobą cicho i spokojnie, oddani pracy i spełnianiu miłych obowiązków, jakie rodzice mają względem swych dzieci.

Pewnego razu Janek, powracając wieczorem z pola, spostrzegł na szosie Krakowskiej powóz przewrócony z połamanemi kołami i bez koni, a o kilka kroków od powozu dwóch panów ubranych dostatnio.

Zbliżył się do nich, ofiarowując im swe konie od pługa do przewiezienia rzeczy, a następnie poprosił panów, aby raczyli sami spocząć w jego domu.

— Ta okolica jest dla mnie bardzo nieszczęśliwa — zawołał jeden z podróżnych. — Przed dwunastu laty powracając z Jędrzejowa, gdzie byłem na jarmarku, zgubiłem tu dwa tysiące rubli.

Janek, tknięty niespodzianie tem odezwaniem się podróżnego, zapytał żywo:

— Ale się pewnie te pieniądze znalazły?

— Gdzie tam — odpowiada podróżny. — Albożpieniądz raz zgubiony można odnaleść? Kiedyś przedtem doświadczenie mię już nauczyło, że jak się co z pieniędzy zgubi, to już nie opłaci się szukać. Nie ma widać dzisiaj ludzi tak uczciwych, którzyby rzecz znalezioną właścicielowi oddali. Kiedyś dawniej zgubiłem pięćset rubli. Długi czas jeździłem i chodziłem, szukając ich, zmarnowałem dużo czasu na to, wydałem niemało pieniędzy to na ogłoszenia, to na rozjazdy po okolicznych parafiach, i wszystko było na próżno. Zgubiwszy owe pięćset rubli, zmarnowałem jeszcze z paręset więcej, aby zgubę znaleść, i jakiż z tego był pożytek? To też kiedy w kilka lat później drugi raz na mnie podobna bieda przyszła, nie chciałem już być tak głupi. Zresztą nie miałem i czasu. Jeżdżąc po świecie jako kupiec, musiałem wtenczas spieszyć na wielki jarmark aż do Kijowa, gdzie spodziewałem się przez kilka dni zarobić więcej, niż ta zguba była warta.

Takie opowiadanie podróżnego wprawiło Janka w zamyślenie. Chciał on coś powiedzieć, ale się nagle wstrzymał, po chwili zaś powtórzył prośbę, żeby panowie udali się do niego na spoczynek.

Ponieważ dom jego jest najbliższym od miejsca wypadku, podróżni chętnie przyjmują zaprosiny.

Na drodze Janek spotyka swoją żonę, która według zwyczaju wyszła naprzeciw niemu, i mówi jej naprędce, aby przysposobiła wieczerzę i pościel dla niespodzianych gości. Wspomniał też w krótkości i o zgubie, o której jeden z panów mu opowiedział. Domyślał się on już na pewno, że ma przed sobą człowieka, któremu winien zwrócić znalezione pieniądze.

Przyprowadziwszy podróżnych do domu i poprosiwszy, żeby usiedli, nie tracąc czasu, Janek bieży do nowego proboszcza i mówi mu o tem, co usłyszał, i zaprasza do siebie na wieczerzę. Ksiądz proboszcz przyjmuje zaprosiny i wkrótce zasiada do stołu razem ze znajomymi panami.

Ci, zadowoleni z przyjęcia, nie wiedzą, jak podziękować gospodarzowi za tak gościnne przyjęcie. Podziwiają czystość i porządek, jaki niespodzianie ujrzeli we włościańskim domu, a jeszcze więcej dobre serce, szczerość i uprzejmość gosposi, która się uwija skrzętnie, usługując gościom.

Było to na początku lata. Kiedy się wieczerza skończyła, nie było jeszcze ciemno na dworze. Gospodarz prosił podróżnych gości, żeby u niego przenocowali, a kiedy oni zgodzili się na to, zaczął ich oprowadzać po gospodarstwie. Pokazuje im cały dom, ogrody, stodoły, stajnie, obory i piękne bydełko i tłuste a żwawe koniki.

Następnie opowiada o swojej roli i o plonach, jakie z niej corocznie otrzymuje.

Panowie podróżni z widoczną przyjemnością oglądali wszystko i słuchali słów Janka, a w końcu jeden z nich się odezwał, że takiemu życiu gospodarza pozazdrościć można.

— My — rzecze podróżny — mamy bez porównania większe od was dochody, przyzwyczajeni jesteśmy żyć w pięknej kamienicy wśród dużego miasta, jadamy w domu przysmaki, ale cóż, kiedy one niebardzo nam smakują, braknie nam często spokoju, musimy wciąż myśleć o różnych sprawach i latać za niemi po całym świecie. Wy zaś przyzwyczajeni do pracy na roli, do prostego życia, spędzacie dnie w spokoju, ciesząc się swem szczęściem z żoną i patrząc radośnie, jak zdrowo hodują się i rosną dzieciaki. Suchy kawałek czarnego chleba lepiej wam pewnie smakuje, niż nam najwyszukańsze potrawy. Nie kłamiac, z największą ochotą zamieniłbym się ja z wami swojem życiem i swoim stanem, ale całe nieszczęście, że nie potrafiłbym uprawiać roli i tak pracować, jak wy, bo nie jestem do tego przyzwyczajony. Wziąwszy się od młodości do czego innego, muszę już swego pilnować.

Gdy podróżny wyrzekł te słowa, Janek zwraca się do niego i mówi:

— Nie ma pan czego mnie tak zazdrościć. Wszystko to, co pan tu widzi dokoła, całe to gospodarstwo, z którego moje szczęście pochodzi, jest pańską własnością. Nabyłem to wszystko za pańskie pieniądze. To, coś pan zgubił przed dwunastu laty, do moich rąk się dostało. Widząc, że nikt się nie zgłasza po zgubę, o której ś. p. ksiądz proboszcz ogłaszał, kupiłem za te pieniądze osadę, na której teraz gospodaruję. Miałem jednak zamiar zwrócić ją z czasem prawdziwemu właścicielowi, jeśli się on znajdzie. Tym właścicielem pan jesteś. Na przypadek, gdybym umarł przed spotkaniem pana, ksiądz proboszcz ma w ręku dowód na piśmie, że ta posiadłość do pana należy.

Nieznajomy oniemiał ze zdziwienia i wzruszenia, wysłuchawszy to wyznanie gospodarza.

Ksiądz proboszcz podał mu pismo, o którem Janek wspominał.

Podróżny rzuciwszy na nie okiem, spogląda to na Janka, to na Magdę, to na ich dzieci, a łzy mu się kręcą w oczach.

— Powiedzcież mi ludzie, gdzie ja to jestem? — zapytuje w końcu — i co ja słyszę? Taki postępek... taka cnota i szlachetność... i to w tak biednym stanie?... Czyż macie przynajmniej jaki inny majątek?

— Nie, panie, nie mamy żadnego — odpowiada Janek — ale jeżelibyś pan nie miał zamiaru sprzedać tej kolonii, to zapewne potrzebny będzie dzierżawca; ja też byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym mógł nadal gospodarować tu jako dzierżawca...

— Nie, moi dobrzy ludzie — mówi nieznajomy — wasza uczciwość zasługuje na inną nagrodę. Pieniądze, które zgubiłem przed dwunastu laty, dostały się w zacne i szlachetne ręce. Jestem zamożnym kupcem i Bóg błogosławi mi w moim zawodzie. Zwrot tych pieniędzy obecnie nie uczyniłby mnie o wiele bogatszym; wy zasłużyliście na nie, niechże więc do was należą!

To mówiąc, rozdziera pismo, które trzymał w ręku.

— Taki postępek — mówi dalej — winien być znany całemu światu. Niema potrzeby sporządzania nowego aktu o tem, że uznaję was i wasze potomstwo za prawych właścicieli tego gospodarstwa. Jednak pragnę, aby on został spisany dla uwiecznienia pamięci o waszej uczciwości i prawości charakteru

Janek i Magdzia padają do nóg szlachetnego kupca. On ich podnosi i całuje Janka serdecznie.

Nazajutrz rejent zawezwany z Jędrzejowa spisuje akt prawny, zapewne najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek w swojem życiu sporządzał.

Janek nie posiadając się z radości, wzruszony, w milczeniu łzy ociera.

— Dzieci moje! — woła nareszcie — ucałujcież ręce waszego dobroczyńcy. Magdziu! dzięki temu zacnemu panu, ta osada i wszystko, co w niej mamy, do nas już wyłącznie należy; możemy więc spokojnie i bez wyrzutu sumienia używać teraz prawdziwego szczęścia!

Gościnność dawniejsza a dzisiejsza.

Nikt nie zaprzeczy, że gorączkowość dzisiejszego życia, konieczność pracy często nadmiernej zarówno dla mężczyzn jak i dla kobiet oddziaływa niekorzystnie nietylko na nasz organizm, lecz i na życie duchowe i towarzyskie. Nikną zatem dawne formy gościnności, nie mające już dziś powodu, ani racyi bytu; owe sute biesiady, obfite uczty, przeciągające się przez kilka dni, a nawet tygodni. Szczupłość naszych mieszkań, drożyzna artykułów żywności, przedewszystkiem zaś, jak właśnie zaznaczyliśmy, gorączkowy nasz tryb życia, wszystkie te warunki nie sprzyjają gościnności, jak ją dawniej rozumiano i praktykowano.

Odwiedzając krewnych i znajomych mieszkających w tem samem mieście, pozostajemy u nich krótko, niewłaściwem więc i zgoła zbytecznem byłoby podawać zaraz obfite jedzenie, zabierające niepotrzebnie czas przeznaczony na rozmowę. Wystarczy zupełnie podać lekkie, orzeźwiające przekąski n. p. owoce, ciastka, w lecie napój chłodzący, w zimie rozgrzewający. Wyjątek stanowi jakaś uroczystość familijna, na którą zaprasza się pewną ilość osób na czas dłuższy, kilkugodzinny. Lecz i w takim razie gościnność nie ogranicza się na uraczeniu gości sutą kolacyą i dobrem winem, lecz zasadza się głównie na uprzejmości gospodarzy, na umiejętności prowadzenia rozmowy ożywionej, wesołej, dla wszystkich o ile to możliwe zajmującej. Obowiązkiem pana i pani domu starać się, tak pokierować rozmową, aby w niej nie było złośliwych uwag skierowanych do osób obecnych, lub obmowy nieobecnych.

Miłem urozmaiceniem rozmowy jest wspólny lub pojedyńczy śpiew lub muzyka, których przedmiotem powinny być rzeczy narodowe, oraz nasze pieśni piękne i bogate. Niedelikatnością byłoby jednakże zmuszać gości do słuchania lichego popisu w śpiewie lub muzyce, lub narzucanie im jakiejś gry niemiłej im, lub nieodpowiedniej n. p. gry w karty. Karciarstwo, choćby we formie niby niewinnej jest stanowczo lichym rodzajem zabawy. Ludzie myślący i do pewnego stopnia umysłowo i towarzysko wykształceni znajdą zawsze inny sposób zabawy, niż grę w karty, tak łatwo przechodzącą w nałóg i namiętność. Niestety i w naszem społeczeństwie ten zgubny i niemądry zwyczaj bawienia gości grą w karty bardzo się rozpowszechnił z wielką szkodą dla naszego życia towarzyskiego, i zwalczanie tego nałogu koniecznym jest obowiązkiem każdej dobrze myślącej jednostki.

Ciężkie ciosy, które tak licznie spadają na znękane nasze społeczeństwo, tłumić wprawdzie muszą wszelkie porywy wesołości, gaszą każdą iskierkę humoru, tej nieodłącznej naszej cechy narodowej, lecz

nie wynika stąd bynajmniej, abyśmy się wyrzekli pięknej cnoty gościnności, tak troskliwie pielęgnowanej przez naszych przodków.

Przeciwnie, im więcej na zewnątrz był nasz polityczny ścieśniony, tem silniej skupiać powinniśmy nasze duchowe siły.

Pozbawieni praw, jakich zażywają narody wolne i normalnie się rozwijające, ograniczeni wyjątkowemi ustawami w życiu publicznem, jedynie w życiu towarzyskiem znaleść możemy podnietę umysłu i pokrzepienie ducha.

Więc nie godzi się nam pod naciskiem ciosów zewnętrznych opuszczać rąk bezsilnie, albo w niskich, zmysłowych i gminnych uciechach, jak karty i pijaństwo, szukać zapomnienia troski — lecz szukać i pielęgnować szlachetne rozrywki, towarzyskość w szlachetnym rodzaju, tradycyonalną gościnność staropolską, które zastosowane do dzisiejszych stosunków nietylko będzie samym wypoczynkiem po trudach i zaspokojeniem naszych skłonności towarzyskich, ale może się stać zachętą do wszelkiej społecznej pracy, zbiorowiskiem naszych myśli i dążności i główną arteryą naszego życia narodowego. M. G.

Nieco z dziejów kanarka.

Żółty nasz towarzysz domowy wywodzi wprawdzie ród swój z wysp Kanaryjskich, położonych na oceanie Atlantyckim tuż przy zachodnich brzegach Afryki; gdybyśmy go jednak do tej jego dawnej ojczyzny wysłali, jużby się tam bodaj zdołał przystosować. Przez te 300 lat niewoli zmienił się kanarek bardzo a mianowicie zmienił swą szatę zewnętrzną: z zielonego w czarne plamki stał się zupełnie żółty; przytem stał się artystą, bo choć owe dzikie kanarki na dalekich wyspach śpiewają bardzo przyjemnie, ale nie tak uczenie, jak nasz żółty. Ha, nie poszła nauka w las, poświęcono przecież wiele czasu i pracy na uczenie kanarka, a sposób nauczania go stał się prawdziwym kunsztem. Owe rozmaite tryle, gwizdania, gruchania, głośne i ciche, szybkie i powolne, jakiemi popisuje się kanarek, ku uciesze całego domu, a czasami aż do uprzykrzenia — to wszystko przyuczone. Dziś już coprawda uczą się dzieci od rodziców t. j. młode kanarki od starych. ale zanim wyhodowano rasę, zdolną do takich śpiewów umiejętnych, kosztowało to dużo trudu i mozołu.

Na myśl hodowania kanarków w celu wykształcenia ich na śpiewaków domowych, wpadli najprzód włościanie w górach Harceńskich i tam też rozwinęła się ta hodowla tak, że stałą się głównem zajęciem mieszkańców i źródłem ich dobrobytu. Powstała osobna rasa kanarków harceńskich i stała się sławną na cały świat, tak że rozpoczęto eksport, czyli wywóz ich na wielką skalę.

Handel wywozowy kanarkami począł się w Harcu w końcu ośmnastego stulecia. Kilku przemysłowców złączywszy się razem, ustanowili zrazu w Petersburgu na małą skalę pierwszą główną agencyę do sprzedawania tego towaru, który każdej wiosny mile był przyjmowanym w stolicy Cesarstwa Rosyjskiego. W jesieni i w zimie udawano się z kanarkami do Hollandyi i Anglii, lecz handel ten długi czas ograniczał się tylko do małych rozmiarów: trudności komunikacyjne były bardzo wielkie i kosztowne. Mniemano bowiem powszechnie, iż wozić tych ptaków nie można, gdyż nieustanne trzęsienie kół szkodliwie na nie działało; więc musiano je do Hamburga albo Lubeki nosić na plecach. Często całemi miesiącami czekano w portach na zmianę groźnego dla ptactwa wiatru, zanim się w morską podróż puścić ośmielono; a chociaż nareszcie wiatr się zmienił, to nie zawsze na korzyść okrętu, więc znów potrzeba było czekać tygodniami, nim się port opuściło. Z takiemi trudnościami połączony handel oczywiście nie mógł się korzystnie rozwijać, ani też zjednywać sobie zwolenników, dopóki pomału nie został udoskonalonym. Tymczasem zamiłowanie do hodowania kanarków z każdym dniem wzrastało; w każdej wiejskiej chacie pielęgnowano je z wielką starannością, ale też trud sowicie się wynagradzał, bo co rok zjawiali się handlarze i zakupując masami ten towar, znaczne pieniądze w chatach zostawiali. Takim sposobem nabywane ptastwo, wpuszczano do małych, drewnianych klatek i takowe na noszach ustawiano; kiedy ze sto sześćdziesiąt albo sto siedmdziesiąt takich



klatek się zebrało, wtenczas przykrywano je starannie płótnem i ruszano w drogę. Przybywszy na miejsce, zajmowano się sortowaniem ptastwa, badaniem tajemnic jego obyczajów i właściwości, a następnie wpuszczano do większych już i umyślnie na podróż przeznaczonych klatek. Na tysiąc mniej więcej sztuk ptaszków, potrzeba było użyć sześciu silnych tragarzy i dwunastu przynajmniej dni czasu, zanim z Harcu do Lubeki przenieść towar się udało; dzisiaj czterykroć większą liczbę ptaków, w czternastu dniach dostawia się do Nowego-Yorku.

Dawniej puszczano się zwykle w podróż przed świtem. Uszedłszy milę, zatrzymywano się, karmiono kanarki; nigdy więcej nad trzy mile nie można było robić dziennie, a i to nawet nie zawsze gdyż musiano brać na uwagę stan powietrza, chronić się przed deszczem lub zbyt mocnym wiatrem. Ładunek dochodził zwykle do pięciu stóp wysokości a dwóch i pół szerokości, ważył zaś przeszło sto funtów, co wymagało niepoślednich w dźwiganiu sił ludzkich; było to już powszechnie przyjętą regułą, iż co dziesięć minut zatrzymywano sie w drodze dla spoczynku i wytchnienia.

Na popasy i noclegi miano już naprzód wyznaczone miejscowości. Gdy się przyszło na popas do oberży, zdejmowano szybko klatki z noszów, wsypywano ziarno i nalewano świeżą wodę. Kilka klatek bywało zwykle w jeden rząd razem spojonych; więc po jednej stronie urządzone były korytka dla ziarna, a po drugiej kubki z wodą. Kilku ludzi musiało się zajmować tą operacyą; jeden zdejmował z noszów w rząd spojone klatki i oddawał drugiemu, którego obowiązkiem było wsypywać ziarno; trzeci zaopatrzony w dzban wody wlewał ją do kubków podczas kiedy czwarty robił rewizyę pomiędzy ptakami, chore oddzielał od zdrowych i był odpowiedzialnym za dobry byt i wesoły humor towaru. W godzinę tysiąc sztuk ptastwa nakarmiono i napojono dostatecznie, zostawiając im drugą jeszcze na wypoczynek, z której ludzie korzystając, siebie także posilali. Po skończonym popasie pakowano klatki na nosze, ruszano w drogę i uszedłszy milę, znów ta sama ceremonia się odbywała. Co trzy dni, oczyszczano wszystkie klatki, nawet patyczki, na których ptastwo siedzi, wyjmowano i starannie oskrobywano; operacyą ta tyle zwykle zabierała czasu, iż dnia tego, nie więcej jak dwie mile można było ujść. Prowiant konieczny na drogę nosił zazwyczaj człowiek umyślnie na to przeznaczony, zapasy zaś żywności, mające służyć ptastwu przez czas morskiej podróży, bywały pewien czas naprzód na okręty wysyłane.

Jakkolwiek ciężki to był towar do dźwigania i ciągłych, a różnostronnych starań wciąż wymagający, przecie tragarze z przyjemnością go nosili, bo krokom ich towarzyszyły pieśni z kilkuset gardziołek wychodzące. Zwabiane tym odgłosem zięby, makolągwy, skowronki, wróble i inne polne ptastwo, dziwiąc się nadzwyczajnie temu, otaczały idącą karawanę, napełniając powietrze właściwem sobie świergotaniem, nieraz dobry kawał drogi ją odprowadzały. Co tam za rozmowy ów szaraczkowy ród ptasi z tego powodu pomiędzy sobą mógł prowadzić? niewiadomo. Ale to pewna, iż niezazdrościł niesionym w ten sposób współpobratymcom swoim losu. Wprawdzie ludzie kanarkom usługiwali, żywili, troszczyli się o ich zdrowie, kiedy tamci musieli w jesieni i w zimie ciężki i pełen niebezpieczeństwa wieść żywot; lecz z pewnością żaden wróbel, makolągwa, zięba lub skowronek, nie pragnął podzielać dobrobytu zamkniętych w klatkach kanarków!

W roku 1842 uczyniono pierwszą próbę przewiezienia tego ptastwa z Niemiec do północnej Ameryki; było to przedsięwzięcie śmiałe, ryzykowne i niebezpieczne zarazem. Musiano nająć osobny masztowy statek; upłynęło kilka miesięcy nim szczęśliwie przybył na miejsce. Yankesy nieposiadali jeszcze wcale zamiłowania do niemieckich kanarków; stracono pół roku czasu, nim ten pierwszy transport, składający się z tysiąca sztuk, spieniężyć jako tako zdołano. W początkach brak był wszystkiego: amatorów, klatek, żywności, do której ptaki w ojczyźnie swojej przyzwyczajone były, znajomości w obchodzeniu się z niemi. Atoli po upływie lat kilku rzeczy tak dalece się zmieniły, iż zamiłowanie do tego ptastwa wzrosło do granic nadzwyczajnych. Już w cztery lata później, jeden z przedsiębiorców zaprowadził stałą handlową komunikacyę tym towarem z Ameryką; w roku 1853, dziesięć tysięcy sztuk sprowadzono, w siedem lat później, liczba wywiezionych do Nowego-Yorku kanarków doszła do piętnastu tysięcy sztuk. Odtąd handel ów rok rocznie się wzmaga, przybierając ogromne rozmiary: w 1869 roku ten sam przedsiębiorca wysłał także 26 000 śpiewających kanarków i około 1 500 sztuk innego również śpiewającego ptastwa. Inni także handlarze idąc w jego ślady, dostarczyli w tymże roku przeszło 16 000 owych pierzastych wirtuozów; z tego się więc pokazuje, iż przez rok jeden wysłano z górą 45 000 kanarków do samej tylko północnej Ameryki. Handel w Nowym-Yorku odbywa się głównie za pomocą drobnych przekupniów, nabywających ptaki tuzinami lub setkami i roznoszących takowe po całym kontynencie, od Nowego-Yorku do Kalifornii i od Kanady do Missisipi. Amerykanie w niespełna lat kilka namiętnie rozmiłowali się w śpiewie kanarków; począwszy od najuboższej chatki, aż do pałacowego salonu, od samotnej siedziby leśnej aż do wojennej w stepach strażnicy, wszędzie rozlega się odgłos piosnki tego ptaszka. Niejaki Günther, przemysłowiec niemieckiego pochodzenia, założył w stolicy Stanów Zjednoczonych parową fabrykę, zatrudniającą dziennie przeszło stu ludzi, wyrabianiem drucianych, rozmaitego rodzaju klatek.

Ale nietylko do jednej północnej Ameryki ogranicza się handel kanarkami; około 5 000 sztuk tych ptasząt wywożą rocznie do Anglii, Polski i Rosyi; drugie tyle do południowej Ameryki jako to: do Rio Janeiro, Buenos-Ayres, Valparaiso; wreszcie do Indyj i Australii. Śmiało można powiedzieć, iż przeciętnie od 50 do 60 tysięcy kanarków wysyłają rocznie z Niemiec na wszystkie strony świata.

PRZEPISY KUCHENNE.

Galareta z mięsa.

¾ funta cielęciny, ¾ funta wieprzowiny, 3 nogi cielęce, sok z jednej cytryny, łyżeczkę kaparów, korzeni, soli, gdy mięso miękkie pokrajać w kawałki, włożyć do formy, przecedzić rosół, nalać na mięso do formy i postawić, aby stęgło.

Kluski na drożdżach.

1 funt mąki, 120 gramów masła, ¼ litra mleka ciepłego, dwa jaja, pełną łyżkę drożdży, trochę soli, z tego wszystkiego zrobić ciasto i gdy podrośnie kłaść łyżką do gotującej osolonej wody i niech się ¼ godziny gotują pod pokrywką. Można je podać do pieczeni lub też dać do nich sos z powideł.

Mięso peklowane wołowe lub wieprzowe.

Na 5 funtów mięsa ½ funta soli, 10 gr. saletry, 10 gr. cukru, natrzeć tem wszystkiem dobrze ten kawał mięsa, zagotować wodę w glinianym naczyniu, gdy ostygnie włożyć w nią to mięso i tak pozostawić 3 tygodnie. Gotuje się w tym rosole 3 godziny.

Nakładem redakcyi „Prawdy", Kraków. — Czcionkami „Katolika", spółki wyd. z ogr. odp., Bytom.